MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok II. Warszawa, 5 Maja 1922 r. Nr. 18.



Cena numeru 40 mk.

PODWYŻKA NA WYRYWKI.

Pan Minister Sosnkowski zażądał podwyższenia płac oficerskich, a gdy te żądania okazały się dla Skarbu zbyt uciążliwe, podał się do dymisji. Gest postępowy, demokratyczny.

Oficerowie są podle wynagradzani. To fakt niezaprzeczony. Kapitan żonaty, z trojgiem dzieci, otrzymuje ze wszystkimi dodatkami, licząc w to i deputat i wynagrodzenie forysica, wedle ceny kwietniowej równowartość ośmiu korcy żyta, gdy przed wojną płaca kapitana wynosiła między 25 a 30 korcami żyta. Podobny stosunek jest między wszystkimi stopniami wojskowymi. Płace ich w stosunku do ceny zboża przedstawiają zaledwie czwartą część płac przedwojennych, a w stosunku do ubrania jeszcze mniejszą. Faktu złego uposażenia wojskowych nikt nie myśli zaprzeczać.

Ale tu narzuca się odrazu pytanie: Czy z pomiędzy ludzi opłacanych przez państwo, oficerowie są jedynymi, źle opłacanymi — a jeżeli nie, to czy z pomiędzy tych ludzi właśnie oficerowie są do tego stopnia najgorzej uposażeni, że szybka naprawa tych krzywdzących stosunków jest tak konieczna, że Minister Spraw Wojskowych przestaje czuć się solidarnym

członkiem Rządu i musi wystąpić samodzielnie metodą, wypróbowaną przez strajkujących klasowców i t. d?

Otóż rozejrzenie się w uposażeniu ludzi, płatnych przez państwo, wykazuje coś wręcz przeciwnego. Między osobami, utrzymywanemi przez państwo, oficerowie są także jeszcze głodomorami, ale w porównaniu do cywilnych funkcjonarjuszów, jednak bardzo uprzywilejowanymi. Na dowód kilka cyfr. Biorę za wzór człowieka żonatego z trojgiem dzieci.

1) Podporucznik, godność odpowiadająca XI stopniowi służbowemu, pobiera 31.800 mk. płacy z dodatkiem drożyznianym i t. d., ponadto dodatek na mieszkanie 3.600 mk., na żonę 5.760 mk., na dzieci 6.490 mk. — czyli razem 47.640 mk. miesięcznie. Doliczywszy nadwyżkę wartości deputatu 28.000 mk., oraz forysica 6.000 mk., otrzymamy wszystkie świadczenia wartości 81.640 mk. Wszystko w miejscowości, zaliczonej do I klasy, o mnożniku 1700.

Dochody podporucznika w XI stopniu służbowym (żonatego z trojgiem dzieci) przewyższają o sumę 4,645 mk. miesięcznie dochody urzędnika państwowego w IX stopniu służbowym, jeżeli się opuści deputat i forysica; a za to przewyższają o sumę 10,611 mk. dochody cywilnego urzędnika w V stopniu służbowym, jeżeli się doliczy i nadwyżkę wartości deputatu i forysica.

Porucznik w tych samych warunkach bez deputatu i forysica ma o 3.157 mk. więcej niż cywilny urzędnik VIII stopnia płacy, a z doliczeniem deputatu i forysia o 14 211 mk. więcej niż cywil w V stopniu płacy. Kapitan ma o 2.913 mk. więcej niż VII stopień, ewentualnie o 19.611 mk. więcej niż V stopień.

Major ma w gotówce 7.293 mk. więcej niż cywil w VII stopniu płacy, a z doliczeniem deputatu i forysica o 23.991 więcej niż cywil w V stopniu.

Podpułkownik o 3.300 mk. więcej niż VI stopień płacy, a z doliczeniem deputatu i forysica o 29.491 mk. więcej niż V stopień—zaś pułkownik o 7.440 mk. więcej niż VI stopień, ewentualnie o 33.631 mk. więcej niż V stopień cywilny.

Nie wynika stąd, żeby płace wojskowe były wystarczające. Ale też nie wynika z drugiej strony żeby te płace były tąk krzywdzącemi w zestawieniu z płacami innych ludzi, tarzymywanych przez państwo, aby aż usprawiedliwiały tę formę żądania czy wymuszania.

P. jenerał Sosnkowski jest członkiem Rządu, który powinien występować jako jedność. Jeżeli spostrzegł—zresztą zupełnie słusznie—że płace oficerskie są zbyt małe, to byłby postąpił skuteczniej, gdyby zniewolił swoich kolegów do rozważenia całości zagadnienia.

A całość przedstawia się bardzo ponuro i bardzo prosto. Ludzie, utrzymywani przez państwo, jako organa wykonawcze rządu, pobierają obecnie piątą, szóstą, siódmą część uposażenia przedwojennego w zestawieniu z cenami zboża, a dziesiątą lub jeszcze mniejszą w zestawieniu z cenami ubrań.

Czy jest na to rada? Jest i owszem. Ale nikt jej nie chce się chwycić, bo jest zbyt prosta. To też szuka się wybiegów. Ponieważ funkcjonarjusze państwowi nie mogliby nawet wegetować za swoje płace, zmuszono kamieniczników, wyzutych z własności, ażeby w zastępstwie państwa dopłacali urzędnikom do pensji w formie śmiesznego czynszu, regulowanego przez ustawę o ochronie lokatorów. Urzędnikom ta ustawa pomaga o tyle, że odsuwa nieco śmierć z wycieńczenia i pozwala na spokojne dodzieranie ubrań i bielizny z dawnych, lepszych czasów.

Ale za to skutecznie doprowadza do nędzy pewną klasę ludzi, która niegdyś była zamożną i bogatą, rujnuje miasta, i uniemożliwia odrodzenie się ruchu budowlanego.

Dwukrotne, jak chce p. jen. Sosnkowski, podwyższenie płac oficerskich, nie zaspokoi słusznych potrzeb korpusu, ale za to popchnie funkcjonarjuszów cywilnych do jakichś nieobliczalnych wybuchów rozpaczy i zaszkodzi samej armii. Oficerowie, w razie urzeczywistnienia projektu p. Sosnkowskiego, doszliby prawie do połowy swoich przedwojennych płac (o ileby wskutek tego marka nie spadła) ale staliby się dwa razy lepiej uposażonymi od urzędników cywilnych, przedmiotem powszechnej zazdrości, klasą uprzywilejowaną między głodomorami. To też młodzież ucząca się cisnęłaby się do stanu wojskowego, ale już bez ości, otrąb i pośladu, a skutek byłby ten, że oficerami pozostaliby filozofowie, antymilitaryści, hreczkosieje, mole książkowe, lekko-duchy; cała branża cywilów z powołania i usposobienia wdziałaby mundur, przeklinając los i plując na zawód, obrany bez zamiłowania i powołania.

Sprawę trzeba ująć zasadniczo. Trzeba mieć odwagę, na którą zdobywają się niekiedy nawet bolszewicy i przyznać się, że socjalizacja i etatyzm zawiodły. Trzeba powrócić do gospodarki liberalnej i przerachować wszystko na przedwojenne mierniki. Wedle ceny zboża i ubrań przeliczyć podatki, a z nimi płace tak oficerów jak urzędników — znieść wojenne i powojenne urzędy, skasować ograniczenia handlu, przemysłu i pracy i w ten sposób zrównać wydatki z dochodami. Uprościć manipulację i pisaninę, a wtedy wystarczy dwa razy mniejsza liczba funkcjonarjuszów cywilnych i wojskowych, których będzie można wyposażyć należycie.

Dziś Minister Wojny żąda podwyżek dla swoich i to podwyżek nie wystarczających na dziś, a złudnych w chwili ich przyznania, gdy się budżet rozchwieje i drożyzna podskoczy. Minister Spraw wewnętrznych, Oświaty, Sprawiedliwości i t. d. nie spełniliby swego obowiązku, gdyby nie poszli za jego przykładem. A wtedy co? Drukowanie marek setkami miljardów dzienie i pospieszne wzorowanie się na walucie bolszewickiej. Tu nie ma innej rady, tylko śmiała i gruntowna zmiana systemu. P. Sosnkowski, jako socjalista z wychowania miał czas przekonać się o fałszywości ekonomji socjalistycznej i stać go na tę odwagę, jaką okazał swego czasu p. Millerand, który jako socjalista stał się przełomowo-historycznym ministrem wojny. Nawracać z błędnej drogi, póki czas.

Jan Zamorski.

A IMIĘ JEGO CZTERDZIEŚCI I CZTERY...

W ubiegłym tygodniu miały miejsce w Wilnie piękne uroczystości, które niepotrzebnie tylko klika karjerowiczów rządowych i prasowych starała się przefasonować na byzantyńsko-hohenzollernoskie festyny ku czci i chwale des Obersten Kriegsherrn. Przy tej sposobności dowiedział się naród cały, że właściwe nazwisko obecnego Naczelnika Państwa brzmi znów nieco inaczej t. j. Józef Giniatowicz Rymsza Kościesza Piłsudski. W każdym więc razie „Rymsza“, co znowu przypomina stare przysłowie litewskie: „Większy Pan Bóg niż pan Rymsza... Tak by się na pozór przynajmniej zdawało. Tymczasem tak nie jest. Festyny wileńskie dały asumpt dziewicom wileńskim, jak wiadomo bardzo zapalnym, łatwo wpadającym w ekstazy i nie leczącym solidnie swojej histerji staropanieńskiej do takich wybuchów uczuciowych, z których przebija się kompletne już ubóstwienie i wniebobranie pana Rymszy. Te same podstarzałe Erynje, które obrzucały jajami pułkownika Chardigny, te same łatwo podrażniające się dziewoje na widok Komendanta wpadały raz po raz w kompletne delirium. Prasa warszawska tak już wypisała wszystkie przymiotniki i komplementy, hyperbole i dusery, że tym razem wyczerpawszy już swój słownik potraktowała tryumfy i festjalne dnie wileńskie powściągliwie i z umiarkowaniem; jeden tylko egzemplarz jej, galilejska oczywiście pflanca, niejaki dr. prof. Piskozub, piszący w „Kurjerze Porannym" pod nazwiskiem dr. A. Brzega pozostały w tem piśmie po wygryzieniu rogatego dr. Włocha i po secessji grupy p. A. Nowickiego) palnął sobie przy tej sposobności chropowatę hosanną synowi Dawidowemu, ale już tak bezsilnie durną i głupowatą w swojem żakowskim wrzasku, że nawet nie ma się pastwić nad czem...

Natomiast wileńskie ligawki i podlizywaczki pozwoliły sobie przy tej okazji na całego. Zobaczywszy wreszcie żywego Komendanta rodaka na własne oczy, opartego lewą ręką na rękojeści szablicy, a prawą dźwigającego dwa olbrzymie srebrne klucze wpadły jedna po drugiej w konwulsje entuzjazmu i rzuciwszy się na ziemię jęły tarzać się w kurzawie i wieszać u nóg końskich, chwytać za strzemiona, za siodło, i wydawać ze siebie dziwne nieartykułowe pienia, peany, pojęki. Jako te Walkirje na.. Lohengrina czy Tannhausera tako te wajdelotki i dewotki rzuciły się na swego Mindowego. Oto jak zawodzi jedna:

„Polska w czasach niewoli przeszła przez wiele męczarni o przeróżnej skali i napięciu. Jedną z nich bodajże najwyższą i najtrudniejszą do zniesienia dla natur wyższej miary, była tęsknota za człowiekiem-Bohaterem, Zbawcą Narodu.

Tęsknota ta została zrealizowana. Jest ktoś pomiędzy nami, komu to miano najzaszczytniejsze dać trzeba, bo niepodobna zrobić inaczej. ...I uczci w nim Wilno żywe wcielenie najszczytniejszych dążeń narodowych i pochylą się przed nim kornie głowy tłumu, a serca zabiją w tak wielkiej miłości dla Wskrzesiciela Ojczyzny Wolnej, sprawiedliwej dla wszystkich, Całej i Wspaniałomyślnej, bo otwierającej na rozcież bramy swoje nawet niedawnym wrogom".

Stefanja tej namiętnej druidessie na imię. A tejże wtóruje druga z brzegu, którą wołają Eugenja.

Lecz kiedy został, trudno było tłumowi żyć w napięciu ciągłej wzniosłości. Tak żyć może tylko część narodu, którą on sam wychował i zahartował krwią i żelazem. A tłumowi trzeba szarego „dzisiaj", małych ideałów na codzień, sytości i używania.. Oczy mrużą się i łzawią od ciągłego patrzenia w olśniewające jutro, wola łamie się przed ciągłą olbrzymią pracą ducha, którego On wymaga... On, Komendant dusz!

A z tąże Eugenją sprzymierza się trzecia korzenna krajowa z Odrodzenia, ale i z Wyzwolenia, wywijająca palmowymi gałązkami i w te słowa rycząca pod niebiosa:

„I my, dzięki Tobie, jesteśmy w żołnierskie mundury odziani, a na bagnetach naszych i szablach dzierżymy szczęście i Wolność Polski.

A Tyś to sprawił, Witeziu nieustraszony, Bohaterze zacny. Rycerzu bez trwogi i zmazy.

I sercem całem gorącem dziękujemy Ci dziś za to, Ty Dziadku nasz ukochany, Jedyny".

Zaiste trzeba mieć mocną głowę, aby po okadzaniu taką myrhą wonną a stęchłą nie doznać zawrotu i nie przejechać się do Rygi, albo nie zamachnąć się srebrnymi kluczami i nie zdzielić zwarjowane histeryczki po rozpalonych głowiznach...

Naczelnik Państwa bezwzględnie tym razem zasłużył na najwyższe i najgorętsze pochwały. Dokonał bowiem rzeczy wielkiej, zmógłszy swoją wolę, względnie wyrzekając się jakichś kapryśnych pomysłów i ugiąwszy się spokojnie przed wskazaniami obozu narodowego. Zaparcie się raz na zawsze federalistycznych mrzonek ze strony polityka, który akurat dwa lata temu w odezwie swojej do mieszkańców „byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego" użył fatalnego wyrażenia: „Wasz to kraj" rozpalając tem jednem powiedzeniem zacięty opór i megalomanję kowieńską, zaparcie się tak uroczyste i akces bez szemrania po polityki reaneksyjnej czy inkorporacyjnej zasługuje ze wszech miar na najwyższe uznanie i pochwały. Ale i w pochwałach i hymnach należy zachować pewne miary, aby wychwalanego nie narażać na śmieszność.

Młode i urocze wiedźmy z gazetek wileńskiej i krajowej z palcami zakleksanymi atramentem i z pomieszanymi klepkami w mózgach przeszły tę miarę i ze strony hofmarszalamtu zasłużyły na przykładne skarcenie.

Atoli jeszcze nie one i nie piskozuby i słońskie rymarze warszawskie osiągnęły rekord w byzantynizmie, wprost europejski... Rekord osiągnął kto inny, quidam homo nazwiskiem Pełczyński...

O nim i o jego drukowanym „Liście Otwartym", o tym kto jest 44 w improwizacji Mickiewiczowskiej i o tem, że zesłanie Józefa Piłsudskiego zapowiedziane jest już światu w Ewangelji Mateusza rozdział I i o tem, że Chrystus narodzi się dopiero z małżeństwa Józefa Giniatowicza Rymszy Piłsudskiego wedle słów Ewangelji... w następnym numerze...

A. N.

Z LABORATORJUM POLSKOŚCI.

Z chwilą powstania odnowionego państwa polskiego wchodzi w swoje żelazne prawa krytyka twórcza, twórcza bo pojęta jako nieodzowna korektywa przy budowaniu ustroju państwowo-narodowego. Nie czas na rozpamiętywanie krzywd, ani na pobłażanie własnemu lenistwu lub błędom. Pierwsze należy rozpędzać nakazem i przymusem, w ostateczności fizycznym, drugie prostować. Świadomość narodowa ma działać w tej sprawie swą częścią logiczną, rozumową.

Z labiryntu trzech orjentacji, w gruncie rzeczy nie orjentacji, ale poprostu nawyknień, tresur i naśladowań, z masy produktów gnijących okresu zakończonego, z bagiennych świetlików próchna fosforyzującego, wichura światowa wypchnęła nas na świeże powietrze. Odurzenie, chwilowa bezsilność, zawrót głowy, tępość poczynań. Wszystko to jest naturalne. Nienaturalność rozpoczęłaby się od tego, gdyby taki stan rzeczy stał się chronicznym, gdybyśmy nie odczuwali wewnątrz samych siebie, że płuca nasze pomału zyskują głębszy dech, a krew roznosi po ciele żądzę lepszego jutra.

Z tego dynamicznego (żywotnego) punktu widzenia pojawienie się wydawanego w Poznaniu „Przeglądu Wszechpolskiego" uznać trzeba za fakt dla polskości podstawowy. Jest to próba, powiedzmy wola oczyszczenia myśli polskiej a zatem i działania polskiego od naleciałości wypadkowych i od zależności wypadkowych, będących poza linją kultury naturalnej. Jest to praca istotnie niepodległościowa. Dotychczas włożono na nas palto niepodległości. Palto może wisieć zdarnie i na manekinie z twarzą woskową. Mniejsza, że to komiczne ale gorzej, że nieżywe, i obraca się na drucikach.

Śród rozpraw „Przeglądu Wszechpolskiego", z których każda ma w sobie liczne elementy doświadczonego przemyślenia, a bez wyjątku pisanych beznamiętnie, bezosobowo (co do objektu), ze spokojem władzy nad przedmiotem, wyróżnia się, może ze względu na doniosłość tematu, rozprawa prof. Bohdana Wasiutyńskiego p. t. „Jak „rozbudowywano" Państwo Polskie". Jest to rozbiór naszych administracyjnych poczynań.

Nie nasze zadanie streszczać szeregi faktów i argumentów. My, pisarze z „Myśli Narodowej", na tym miejscu jesteśmy jak komenda lotników, mających na celu wskazywanie, gdzie siedzi w okopach wróg a gdzie przyjaciel, gdzie Polak a gdzie obcy. Dalej — odsyłamy do przeczytania i zastanowienia się nad szczegółową argumentacją.

Więc na tym miejscu notujemy głównie kierunki upodobań naszych państwowych budowniczych, w części Kongresowiaków, głównie Galicjan, jako rutynistów umarłego imperjum austrjackiego, przystępujących z garniturem gotowym.

Prof. Wasiutyński notuje zamiłowanie Kongresowiaków do pozorów i wogóle do imitacji. Z szeroką naturą, wcale niedwuznacznie trącącą zapędami bolszewickimi Moskwy, z nie-

umiejętnością wzmocnioną maksymalistycznemi próżnostkami, aby „cały świat zadziwić“, nagromadzono kupę ministerstw, urzędów według „pryncypów“ najnowocześniejszego, najwzorowszego państwa. Gdzież jest Ministerjum Zdrowia?—W Polsce. Gdzież jest Ministerjum Kultury?—W Polsce. Gdzie dla płuc obywatela wyznaczono obowiązkowo tyle a tyle kubików tlenu?—W Polsce. I jednocześnie niezamiatanie ulic miljonowego miasta w przeciągu całego miesiąca zdarzyło się też w Polsce. Jak nazwać taką wesołą teorję, a smutną praktykę? Jest w tym coś pokrewnego uszczęśliwianiem robotników przez Lenina i towarzyszów. Ale skąd umysł polski, wcale nie pozbawiony poczucia rzeczywistości, nawet może zabardzo poziomo-realny, mógł był spłodzić takie głupstwa? Był to niewątpliwie wpływ rosyjski, skutek długiego współżycia duchowego „rewolucjonistów“ polskich i rosyjskich, odbiły się mocno na Piłsudskim i jego partji, a w literaturze na pisarzach nawet wielkiej miary, którzy dotychczas instynktem usilnie szukają, a nie mogą znaleźć Polski.

Galicjanie weszli do państwa również z imitacją, lecz z imitacją określoną, z rutyną. Nie potrzebowali rozmachiwać się na wszystkie cztery strony świata, sięgać nawet do Australji po ssaki znoszące jaja, reasumować uchwałą wieców wszystkich międzynarodowych studenckich konwentyklów szwajcarskich, francuskich, niemieckich, rosyjskich i polskich. Ubranie było gotowe. Mniejsza o to, że figura inna, a i czasy inne. Więc zrobili co mogli. Ściągnęli odzież z trupa i ofiarowali go Polsce. Zaszczepili biurokratyzm państwa policyjno-administracyjnego, przerost biurokratyczny kosztowny i podejrzanej sprawności mechanicznej, zwłaszcza gdy nie żyje już architekt i dozorca—Wiedeń Habsburgów. Że jest on rodzajem koszuli Dejaniry, mogą o tym coś powiedzieć polscy ministrowie finansów, no i publiczność. Korektywa jest dość trudna, bo nie ma nic upartszego w konserwatyżmie niż biurokratyzm.

Z powyższymi duchami Banka ma się uporać myśl wszechpolska. Nie byłoby to rzeczą trudną, gdybyśmy pracowali sami w domu bez paromiljonowego wspólnictwa żydów. Ci będą nam w akcji unarodowienia myśli polskiej wedle sił swoich przeszkadzali. Instynkt rozkazuje im pielęgnować nasze słabości—hymen z bezpłodnym maksymalizmem rosyjskim i z cieniem Austrji. I to komplikuje sprawę, odciągając jej rozwiązanie.

I. O Grabowski.

DOKUMENT DUSZY POKOLENIA NAJMŁODSZEGO.

I.

Maturzyści jednej ze szkół warszawskich, wspomagani przez woluntarjuszy młodszych od siebie i starszych, zaczęli wydawać miesięcznik literacki, nazwany ni stąd ni zowąd, chyba dla upamiętnienia świeżo nabytej wiedzy i uczczenia dzieła Orzechowskiego — Quincunx.

Pisma młodzieńcze — rzecz to powszechnie praktykowana, znana i dziwić nie może. Póki będzie młodzież, papier i pióro — zawsze ta sympatyczna w gruncie rzeczy grafomania, jak kwiatki wiosenne, nie wiadomo skąd, wybłyśnie, odkrywając wszystkie Ameryki, burząc wszystkie „światy stare", gromiąc grzechy wszechbytu, ścinając, sądząc, melancholizując i mimo „okropnego" rozdarcia, skonstatowanego przez nią między „staremi a nowemi laty" — bardzo miła nieraz, jako zapowiedź dalszej uprawy starych pól kultury Zazwyczaj, te światoburcze dążenia kontentują się skromnym litografem i szczupłem kołem najbliższych przyjaciół, i po kilku groźnych burzach, unicestwiających świat, czy po kilku sielankach, w których serce pękało na kawały, taka jętka graphomanica — ginie naturalną, spokojną śmiercią, a z poczwarek rodzą się częstokroć dzielni, mili chłopcy, rzucający się do dalszej pracy z ochotą i energją. Febris poetica w młodych latach nie jest śmiertelna.

Quincunx odstąpił mocno od tych sympatycznych, mocno pretensjonalnych a jednak bezpretensjonalnych tradycji młodzieńczych. Wystąpił, jako miesięcznik „poważny", zewnętrznie robiący wrażenie, jakby był redagowany przez „starszych", a w treści niebyle jakie cele sobie stawiający. „Zgrupować chcemy — mówi Redakcja — wokół siebie wszystkich młodych, posiadających szczery talent i gorące umiłowanie sztuki w jej najgłębszej istocie", bo „w Polsce niema dziś właściwie pisma młodzieży literackiej". A celem tego zgrupowania jest „gwałtowna potrzeba rewizji stosunku myślowego i uczuciowego do zagadnień, co do których kryterjum nasze zdawało się być niewzruszonem. Takiej rewizji dokonał swego czasu Romantyzm, obecnie zaś jest ona zadaniem poezji Nowej. Do tej rewizji w miarę sił i my dążyć będziemy", oświadcza Redakcja, stwierdzając, że „wyszło na jaw, że wiele z pośród dawnych zagadnień komentowaliśmy fałszywie" (czy podczas lekcji literatury polskiej?) i że „Poezja Nowa nadchodzi", a będzie ona „jeno dalej prowadziła wielkie dzieła, rozpoczęte przez dawną. Będzie jej kontynuatorką, następczynią. Nawiąże nić swej twórczości do jej nieśmiertelnych tematów i pod zewnętrznie zmienioną szatą *toż samo* śpiewać będzie".

Ale ci chłopcy to spryciarze nielada, nieświadomi zapewne, ale w całem, warszawskiem tego słowa rozumieniu — kawalarze! Wstecznik i reakcjonista, mający duszę, pełną mądrości i mocy Mickiewicza, wizji Krasińskiego, natchnień i słoneczności Słowackiego, taki kontrrewolucjonista i szowinista narodowy, zabrawszy się do dwuch numerów Quincunxa i spodziewając się tam znaleźć nieco blasków i tchnień „dawnej poezji", oszuka się grubo, a przerażenie, jakie go przejmie, będzie niespodzianką i karą, że na dawnych drogach „się zapóźnił" i nie rozumie, że „głos (słowo, nawet drukowane) kłamie myśli".

Streśćmy, naprz., taki sztandarowy wiersz, jak *Wolność*. (Zeszyt 2-gi). Temat na wskroś romantyczny, w Polsce taki drogi; nazwisko autora polskie; wedle naszych wiadomości, dobry, rasowy Polak. Jak tedy wolność rozumie najmłodsze pokolenie, uzyskujące świadectwo dojrzałości?

Otóż poeta ma „*w zmęczonych ócz źrenicach*“ wizję wolności, dopiero idącej „*w błyskawicach gilotyn, w tupocie bosych nóg, w rozgwarze śródmiejskiej złudy, w bezsilnem tchnieniu nudy, w płomieniach czerwonych słońc*, bo wolności w Polsce niema, tylko jej cień poeta widział, cień, idący dopiero na walkę; ludzie o wolności marzyli (poeta nie ma na myśli szczególnie jakiejś Polski) marzono o wolności na północy i w Afryce; można ją było dostrzec „*w czarnych wargach zbrodniarzy, w krzykach ginących tysięcy, na targach*“, przynajmniej poeta tam ją widział, a wszędzie nieco lubieżnie „*rozgwar dziki mówił mu o cudownej mocy ust*“ wolności.

Wolności niema; poeta błaga ją tedy, by przyszła „*w rozszalałej mocy*“ (pioruny i t. d. opuszczamy), aby rozpoczęła swe dzieło. Nie jest to wolność, o której marzył Mickiewicz; ma ona bowiem „*sztyletować łona*“ „*bić pięściami po twarzy*“, *i obłąkana i szalona* — „*w szatańskim blasku duszy*“ wieść tłumy, „*wznieść krwawe pochodnie*“ i „*wplątać nas w nadludzkie zbrodnie*“ *w nadludzkie mordy*“, „*uderzyć w akordy grzechu, w konanie i agonję*“.

Dotąd — wywodzi refleksje poeta — poezja, wzdychająca strofami, milcząca, kłamiąca i płacząca, służy do zagłuszenia świadomości, że „*z człowieczeństwem tonie świat życia u chorych raf*“, że „*zmagają ją dotąd błyskotki strojnych, wiecowych mów*“, „*mamią tanie brylanty i sznur korali czerwonych*“, lecz kiedyś poezja wstanie „*na gruzach fałszów*“ i „*w płomieniach buntu*“ powiedzie świat; „*zdejmie bielmo z uśpionych powiek*“, *pójdzie w tan obłąkany*“, a gdy wstanie „*z głębin*“ *ten* „*zszargany tłum*“, wtedy „*wtedy poezja pójdzie do słońca*“, wtedy rozpocznie wielki swój lot do chmur, *ponad amaranty* (tak!).

Wiersz ten jest niezwykłym dokumentem, jakie pojęcie o poezji młodzieniec wyniósł ze szkoły po przeczytaniu Kochanowskiego, Krasickiego, Potockiego, Krasickiego, Woronicza, Mickiewica, Słowackiego, Krasińskiego, bo ani na chwilę nie trzeba zapominać, że mamy do czynienia z chłopcem klasy VIII. Może to służyć i jako dowód siły moralnej wpływów szkoły i haseł bolszewickich, które bezwzględnie wzięły górę, a jest to nadzwyczajnem „nawiązaniem z dawną poezją“, o czem przecie Redakcja tak wymownie się rozwiodła. Przypomina to tak zw. teozofję, która jest pełna wzniosłej wyrozumiałości dla wszystkich wierzeń i religji, prócz (naturalnie tego się nie mówi, tylko praktykuje)—dla katolicyzmu...

Ign. Kozielewski.

BELMONT, BAUDOUIN i PAN SMARZEWSKI.

Z naukowo pornograficznego „odczytu" głównego współpracownika „Godziny Polskiej" (C. Zawiłowskiego) starego satyra „Leona" Blumenthala false Belmonta pt: „Grzech Kobiety" zdawał sprawę tylko jedyny Kurjer Polski zostający w zastępstwie p. Rosnera pod redakcją p. Tadeusza Smarzewskiego. Recenzję pisał zdaje się sam prelegent o sobie.

W tej autoreklamie pornograficznego godzinowca, wypływającego znów na powierzchnię przez protekcję p. Smarzewskiego znajduje się taki passus.

„Pozostawiając na boku wywody teologów, prelegent na mocy danych lingwistyki porównawczej (sic!) posiłkując się uprawnioną hipotezą naukową, wykazał, że owa legenda pochodzi jeszcze z zamierzchłych czasów, gdy Arjowie i Semici nie byli (?) się rozeszli (?), że pomiędzy rajem Biblji, babilońskim Edenem i greckim ogrodem Hesperyd ze złotem i jabłkami są niewątpliwie związki historyczne, wytłómaczył symbole węża i jabłka, oraz drzewa poznania dobrego i złego — czyli, że wspomniany wyżej konflikt semicko-aryjski na tle przesądn o „grzechu kobiety" rozwiewa się (?) w świetle nauki, jako żałosne nieporozumienie (?). Sięgając do źródeł sanskrytu i hebrajszczyzny, oraz pokazując dziwną zbieżność dźwięków, dotyczących idei raju w językach aryjskich i semickich, prelegent rzuca nowe a niespodziane światło na twórcze źródła prastarej legendy, która zyskuje wartość bezcennego klejnotu wiedzy o czasach pra-historycznych".....

Jak widzimy z tej „recenzji" „prelekcja" polegała na bladze, humbugu, spekulacji na seksualną łapczywość mobu, oraz na jakimś podręczniku z wydawnictw petersburskich czy berlińskich. Na odczycie atoli był peterburski „rodak" p. Belmonta prof. Baudouin de Courtenay, „założyciel" stowarzyszenia wolno-myślicieli polskich. Ten to rozwałęsany uczony, obijający się od 30 lat po radykalnych zakamarkach, raz po razu wyskakujący z jakąś prowincjonalnie światoburczą ideą, nieuleczalny megaloman w masce skromnego ideowca, zawsze gdzieś wścibiający się w obronie jakiejś „uciskanej niewinności" tym razem znów wywabiony z pracowni (gdzie powinien fałdów przysiąść i poza specjalność swoją nie wyłazić) asystował na odczycie, poczem zachwycony bluffem i blagą p. Blumenthala „zaprosił go w imieniu myślicieli wolnych" na wygłoszenie powtórne tegoż odczytu w Sali Towarzystwa Antihygienicznego.

Prof. Baudouin de la Manche obecnie zramolizowany jest już doszczętnie. Raz po razu żarty żądzą naprawy świata i... rozgłosu, wyrywa się z czemś co ni przypiął ni przyłatał, ni w pięć ni w dziewięć, ośmieszając do reszty i siebie i splendor wiedzy i uczonych. Z tem już oswoiliśmy się i młodzieńcze szusy i hopki zasłużonego w innej dziedzinie uczonego toleruje się z wyrozumiałością. Jest w tem pewien styl, zresztą mocno petersburski, ale ostatecznie ze znakomitego

językoznawcy wyrobił się typ groteskowy, który lada chwilę któryś z komedjo-farsistów przeniesie na scenę. Gdy prof. Filip Baudouin de Courteney zbyt długo w swych Konopiach zagrzebany milczy i nie wyrywa się ze zwaleniem jakiegoś „zabobonu“ lub „przesądu“, odczuwa się wprost nostalgję za „wszczynaniem“ przezeń jakiejś światoburczej akcji.

Jest to najstarsze „enfant terrible" naszego piśmiennictwa, w swej niezaradności i w swych wpadunkach raczej bardzo sympatyczne. To też i w tem, że tak stanął w obronie uciskanej niewinności le vieux Satira di Belmonte, pomny na petirsburską przyjaźń nic nie ma zdrożnego i oburzającego.

Bardzo wielką natomiast lekkomyślnością jest ze strony p. Tadeusza Smarzewskiego, że w czas nieobecności swojego chefa p. hofratha Rosnera pozwala autoreklamować się w „Naszym Kurjerze Polskim" spekulującemu na sexualizmie gawiedzi Leowi Belmontowi recte Blumental z „Godziny Polskiej."

A. N.

JAK SIĘ DA, TO SIĘ ZROBI.

Salomon Guttman i S-ka chce mieć hutę „Katarzynę“. Salomon Guttman i S-ka otrzymuje ją przy pomocy Bożej i Ministerstwa Przemysłu i Handlu.

Żyło sobie w Zagłębiu Dąbrowskiem trzech żydków: Guttman, naturalnie Salomon, Szpiro i Spiegelman. Żydziaki te znane były w całym Zagłębiu jako sjoniści odnoszący się wrogo do Polski, indywidua które w oczach okupacji niemieckiej pozostawały w zażyłych stosunkach z drogimi ich sercu najeźdzcami, ale to nic nadzwyczajnego, gdyż wiemy, że cała „mniejszość“ odnosi się do nas z nienawiścią, ale nienawiść tę potrafi stłumić, a w międzyczasie napychać kieszenie mareczkami, wprawdzie mało wartemi „ale na wszelki wypadek..." To też Gutman i S-ka rozumieli, iż trzeba skorzystać z okoliczności i nabić kabzę pieniądzmi głupich „gojów", którzy skaczą tak, jak im żydowskie cymbały zagrają. Pomogło im w tem.. „nasze polskie Min. Przem. i Handlu".

Rzecz miała się następująco: od czasów okupacyjnych zostawała huta „Katarzyna“, własność Tow. Akc. niemieckiego „Königs—und Laura Hütte", pod przymusowem zarządem polskim. Huta ta zatrudniała 4.500 robotników, a więc przedstawia miljardowe przedsiębiorstwo. Pan Salomon zwąchał pismo nosem, że ta „Katarzyna“ to „fajn interes“, tylko, że te głupie „polaki“ nie umieją gospadarować, a więc trzeba im to odebrać. Ale jak? — jak to jak... Pan Salomon Gutman chce eksploatować hutę. To wystarcza. Więc pakuje żydziak manatki jedzie do stolicy „nadwiślańskiej“ aby złożyć wizytę w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, mówiąc do wszystkich, że w Ministerstwie da sobie radę. Jak się da, to się zrobi.

Gesagt gethan. Co Salomon robił tam (w Warszawie) nie powiem wam, dość na tem, że cicho sza, aby nikt nie wiedział, Ministerstwo Przemysłu i Handlu bez ogłoszenia publicznego przetargu (aby broń Boże jakie polskie T-wo nie dostało w swe ręce huty, oddaje hutę Spółce Guttman i trzej synowie Izraela zostają dyrektorami i dzierżawcami miljardowego przedsiębiorstwa, chwaląc się, że w Polsce jak się chce, można wszystko zrobić. Pan Guttman chciał „Katarzynę“, pan Guttman ją ma.'

Takiego postępowania naszych władz naczelnych, opinja dłużej znieść nie może. Dlaczego Ministerstwo Przemysłu i Handlu nie ogłosiło publicznego przetargu huty, na którą byłoby wielu reflektantów

polaków? Dlaczego wpychamy w żydowską paszczę ogromne sumy, podczas gdy cała masa polskich inżynierów i przedsiębiorstw byłaby gotową do dzierżawy wspomniąnej huty? Żądamy stanowczo wyjaśnienia tej sprawy i pociągnięcia do odpowiedzialności winowajców. Nie możemy na to pozwolić aby niechlujstwo żydowskie panoszyło się coraz bardziej i odbierało chleb setkom rodaków, wyzyskująo ich i pozbawiając Skarbu Polskiego grubych miljonów, które z rąk żydowskich idą później na wspieranie agitacji komunistycznej. Czy długo jeszcze Guttmany i Spiegelmany będą nadużywać naszej cierpliwości a Ministerstwa będą powolne ich rozkazom? *Oculum.*

„AN DER SCHÖANEN BLAUEN DONAU...“

Notatka z „Czasu":

— Ślub hr. Matyldy Baworowskiej, córki hr. Rudolfa i Franciszki z hr. Chorinskych Baworowskich z hr. Agenorem Gołucnowskim, synem śp. Agenora i Anny z ks. Murat Gołuchowskich, odbędzie się dnia 26 b. m. w kościele św. Szczepana w Wiedniu.

Ja die galizischen Schlachtzizen die bleiben uns alleweil treu...

CYFRY A WYWODY.

Toczące się obecnie obrady w prawniczej komisji sejmowej w sprawie znacznej podwyżki komornego oraz niektórych zmian w ustawie o ochronie lokatorów, wywołały żywe poruszenia w zaciekle walczących między sobą obozach lokatorów i właścicieli nieruchomości. Wszyscy w gorączkowem napięciu oczekują wyniku decydujących obrad wspomnianej komisji.

Tymczasem nieruchomości warszawskie głuche na wszelkie argumenty i perswazje o niewczesności wobec drożyzny, domagania się remontu i na zalecenia cierpliwości aż do powrotu normalnych warunków przedwojennych i uporczywie dążą do samozawalenia się i naprawdę powoli... rozpadają się w gruzy. Niekażdy dzień już obecnie jest wolny od wypadków tego rodzaju.

Przeszło pięćset domów rozebrano dotychczas. Tysiąc domów, według statystyki magistratu, groziło bezpieczeństwu publicznemu już w zeszłym roku. Łatwo sobie wyobrazić co nas oczekuje w najbliższej przyszłości.

Zaogniona u nas więcej niż gdziekolwiek bądź kwestja mieszkaniowa znajduje swoje odzwierciadlenie na łamach pism. codziennych w namiętnych artykułach *pro ı contra* i zderzeniu się wręcz sobie przeciwnych poglądów. Tam, gdzie zadrasnięte są najczulsze struny interesu kieszonkowego, trudno rzecz prosta, oczekiwać bezstronnego oświetlenia kwestji Źle jednak przysługują się tak drażliwej i zawiłej sprawie ci, którzy, posiadając pewien autorytet na mocy zajmowanego stanowiska urzędowego i przypuszczalnej znajomości fachowej, zamiast rozważania tej sprawy *síne ira et studis*, wnoszą jeszcze większy zamęt i zaniepokojenie w opinji publicznej, operując wielce wątpliwemi cyframi i jeszcze więcej wątpliwemi wywodami. W artykule „Miljonowe obciążenia" (Kurjer Warsz. Nr. 80) autor oprócz swojego obliczenia na niewiadomo skąd,

wziętej cyfrę komornego przedwojennego w sumie 150 miljonów rubli. Jest to błąd oczywisty. Najwięcej kompetentna w tej sprawie instytucja Towarz. Kredyt. m. Warszawy w memorjale do Ministra Skarbu z dn. 9/XI 1918 r., na zasadzie ścisłych danych, określa tą sumę na 64 500.000 rubli. Lustracja z 1919 roku wykazuje wysokość komornego dla „wielkiej Warszawy" w sumie około 160 miljonów marek. A zatem ludność Warszawy przy 50-cio krotnej podwyżce dopłaci nie 15½ miljarda, a zaledwie 7¾ miljarda marek. Różnica bądź co bądź dość pokaźna.

Czy suma ta zaważy zbyt ciężko na szali budżetowej mieszkańców miasta?

Przy obecnych warunkach gospodarczo-ekonomicznych nie przesadzimy chyba przyjmując, że każdy mieszkaniec wydaje na swoje utrzymanie w szerokim zakresie tego słowa przeciętnie nie mniej niż 1.000 marek dziennie, co przy miljonie ludności stanowi 365 miljardów rocznie. 7¾ miljardowe komorne wynosi zatem około 2% ogólnych wydatków, wtedy gdy do wojny komorne wynosiło od 20—25% rozchodu rocznego. To też zupełnie słusznie przedstawiciel Ministerstwa Skarbu mógł oświadczyć w komisji sejmowej, iż nie obawia się skutków finansowych podwyżki.

Mieszkanie 3-pokojowe z doliczeniem przedpokoju i kuchni składa się z 5-ciu ubikacji. Dla 38.000 urzędników zatem trzeba zbudować 1.900.000 pokoi. Ponieważ koszt budowy każdego pokoju wynosi obecnie od 1.5—2 miljonów marek, (przeciętnie 1.8 miljonów) suma inwestycyjna wyniesie nie mniej nie więcej jak 3 biljony 420 miljardów. Excusez du peu!

Do kosztów budowy musi się doliczyć i koszt pod budowę. Ceny terenów budowlanych kalkulowały się do wojny w stosunku 30% do kosztorysu ogólnego. Licząc obecnie tylko 10% otrzymamy dodatek w kwocie 342 miljardów. Skorzystanie z placów rządowych położonych po większej części po za miastem, nie zmniejszy tej sumy, dochodzą bowiem inwestycja na komunikację, bruki, kanalizację i oświetlenie. Koszt zatem budowy domów wyniesie *3762 miljardów*.

Włożony w budowę kapitał, bez względu z jakiego źródła pochodzi, wymaga oprocentowania. Kredyt prywatny kosztuje obecnie od 5—6% *miesięcznie*, czyli od 60—72% rocznie.

Gdyby zatem rządowi udało się cudem jakim zasiągnąć tak kolosalną pożyczkę na cele budowlane choćby na 6% tylko, to, doliczywszy do tego 2% na amortyzację i 2% na administrację, konserwację i asekuracje gmachów, czyli razem 10% i nie licząc już zupełnie podatków komunalnych, otrzymamy, że samokoszt komornego dla 380.000 urzędników wyniesie 367 miljardów 200 miljonów *rocznie*.

Nie można tedy brać za złe rządowi, jeżeli, przy obecnym stanie naszych finansów, woli on zapłacić zamiast sumy powyższej zaledwie 15 miljardów, t. j. o jakie 25 razy mniej i to już po uchwaleniu 50-cio krotnej podwyżki komornego!

L. Nowiński.

CZERWONY ESTETA.

W obronie zagrożonego kassatą ministerstwa sztuki i kultury uważała P. P. S. swego czasu za stosowne wydelegować dla efektu teatralnego swego mówcę. Jakoż 14 lutego wypowiedział orację poseł Norbert Barlicki. Jest to jeden z tych pepeesów, których się szanuje i ceni. Ma ładną kartę z r. 1905, pracowity, kształcony, w r. 1918 za zadarcie z Prusakami przesiedział się 7 miesięcy w Modlinie i wyszedł z ciupy dopiero wtedy, kiedy wychodzili Rabski, Grabski, Rosset, a Prusacy pakowali manaty. Z zawodu zdaje się pedagog, młodzieńczo rozkochany w literaturze romantycznej. Jednem słowem jeden z takich, co w socjalistyczne bóstwa i dogmaty wierzą serjo i Polskę kochają równocześnie, może jeszcze prymitywnie, nie realnie a romantycznie ale głęboko. W każdym więc razie nie z gatunku cynicznych spekulantów krakauerskich i tej maści czerwonej kołtunów paskujących socjalizmem co Daszyński, Żuławski, Haecker, Klemensiewicz i t. p. bagage.

Uwzględniwszy pięknie to wszystko, należy jednak przyznać, że mowa p. Barlickiego była prostą komedją i li tylko taktycznym manewrem partyjnym[1]). Pan Barlicki chwalił się, że ministerstwo sztuki i kultury powołał do życia „rzond" robotników i chłopów i zapewniał, że sztuka i kultura kwitnąć mogą tylko pod protektoratem ludu. Pan Barlicki oświadczył, że „robotnicy protestują przeciw antykulturalnemu wnioskowi zwinięcia tego ministerstwa" i że on „w imieniu robotników" domaga się zachowania tego resortu i t. p. Są to grube kłamstwa i frazesy dla galerji i dla prasy. Ani robotników ani chłopów ani ministerstwo to ani sztuka i kultura w Polsce, jeszcze literalnie nic a nic nie obchodzą. Robotnik nasz jest jeszcze w tem stadjum cywilizacyjnem, że zarabiając nawet po 100.000 miesięcznie nie kupi sobie ani obrazka ani doniczki z kwiatkiem, ani nie pójdzie do teatru czy na popularny koncert do Filharmonji, ale przepija i przejada wszystko, żonie kupuje pantofle na wysokich obcasach, a córce białe pończochy półjedwabne. Niech towarzysz Barlicki objedzie raz peryferje miasta tramwajem, zaglądnie do narożnych knajp przedmiejskich i porozmawia z bufetowymi jakie to sumy tam przeżerają przeważnie robotnicy, potem niech zwiedzi kilkanaście ich mieszkań i tam się przekona ex autopsia jaki to dziś w r. 1922 jest stosunek robotnika naszego do „kultury i sztuki". To samo z chłopstwem, dostatniem, bogatem chłopstwem. To

---

[1]) W miesiąc potem, w Marcu poseł Moraczewski oświadczył się przeciw podwyżkom, zaproponowanym przez sejmową komisję oświatową dla profesorów Uniwersytetu wnosząc terrorystyczną rezolucję, że po podniesieniu uposażenia choćby o jedną markę należy automatycznie podnosić uposażenie wszystkich urzędników w całej Polsce!!!

nie Czechy i nawet nie Serbja p. Barlicki! Nasz lud i roboczy i włościański tak sztuki jak kultury jak pierwszych warunków i podstaw kultury jeszcze w całem tego słowa znaczeniu nienawidzi. Miejmy nadzieję, że po 25 latach własnej państwowości, wobec obecnie dopiero rodzącego się powszechnego pędu do oświaty, to się gruntownie odmieni. Na razie jednak nienawidzi. Nienawidzi czystego stołu, schludnej pościeli, kwiatka w oknie, ptaszka w klatce, skrzypeczków w ręku syna, haftu w rękach córki. Nienawidzi! To nie Bawarja, Flamandja, Morawy, Mazury pruskie. To nieco Barbarja jeszcze, straszliwa, ciemna, barbarja kradnąca druty ze słupów telegraficznych, bijąca kamieniami w samochody puszczające się w głąb kraju, wyłgująca się od stawiania szkółek wiejskich, ziewająca w miastach w kinach na filmach naukowych i kształcących, nie kupująca żadnych książek, po kościołach rycząca najstraszliwszymi falsetami, na wiecach oklaskująca najgłupszych byle najordynarniejszych demagogów.

Dlatego protestowanie w „imieniu robotników i włościan" przeciw kasacie ministerstwa sztuk i kultury w Polsce dzisiejszej jest wierutnym kłamstwem, oszukiwaniem opinji publicznej i partyjną komedyą. O tem żeby sztuka rozłamywała jakieś tam „skorupy obojętności drzemiących mas ludowych" niema jeszcze mowy. To nie Węgry ani Danja, ani Szwajcarja! Skorupę barbarzyństwa rozłamywać musi przez 25 lat najpierw elementarz.

Nadto już tam w Rosyi zrobiono eksperymenty z protektoratem chłopów i robotników nad sztuką i kulturą. My tych eksperymentów powtarzać nie mamy ochoty. Pan Barlicki „Moskali" nie cierpi. Należy nawet zdaje się do tej kategorji patrjotycznych socjalistów, którzy więcej jeszcze nienawidzą Rosyi, niż kochają Polskę, a raczej tem tylko kochają Polskę, że ciągle jeszcze caratu nienawidzą. Pocóż więc powtarzać czysto kałmuckie frazesy godne „prolet-kulturtregera" z Sownarkomu?...

Sztuka w Polsce istniała i bez ministerstwa, nawet tęga i piękna. Oby tylko ta w niepodległej Polsce tak raptownie się demokratyzującej nie była gorszą od tej z ostatnich stu lat! Bez ministerstwa jeszcze się obejdziemy. Staniemy na nogi finansowo, to i na luksus ministerstwa sztuki będziemy mogli sobie pozwolić. Zresztą i ta ministerjalnie protegowana i propagowana Sztuka przeważnie bywała dotychczas w Europie rzemieślniczą, najszablonowszą, najbanalniejszą, najfilistyńską, liwerancką i najgorszą.

Ministerstwo „Sztuki i Kultury" w dzisiejszej Polsce z taką walutą, z takimi szosami, z takimi muzeami, z takimi szkołami ludowymi, z takim procentem bandytów i z takim procentem analfabetów, to jest bluff, to jest snobizm, to jest kwiatek przypięty do kożucha.... brudnego, podartego, nieco jeszcze cuchnącego kożucha!

A. N.

Pren. kwart. **480,** półr. **960,** rocznie **1920.** Zagranicą **2880.**
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **60.000,** ½ str. **30.000,** ¼ str. **16.000,** ⅛ str. **10.000,** 1/16 str. **6.000 mk.** Konto czek. w P.K.O. Nr. 3105

Pren. i ogł. przyjmuje Hurtownia pism „Oświata", **Zgoda 5,** tel. 263-02
REDAKCJA: KOPERNIKA 23, II piętro.
Redaktor i wydawca: I. O. GRABOWSKI.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Druk. F.szyński i S-ka, Warsza Wywa, Warecka 15.